

Transkrypcja wywiadu z:
p. Krystyną Rzewuską



CYFROWE ARCHIWUM
POMORSKICH KRESOWIAKÓW

Wywiad przeprowadziły:

Monika Bartlak,
Agnieszka Olzacka

Transkrypcja:
Judyta Warzecha



CYFROWE ARCHIWUM
POMORSKICH KRESOWIAKÓW

Dobra, więc tak: mam podać konkretną datę, kiedy się urodziłam, czy już niekoniecznie?

-Może być wiek.

Słuchajcie, przedwczoraj wsiadam do tramwaju i jeszcze jakaś pani. Taka pani, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt pięć lat. Taka starsza już pani. I ona taka obładowana paczkami i jest jedno miejsce. I mówi: pani siada – do mnie. A ja tak patrzę i myślę: co ona zrobi z tymi paczkami? Bo jej się należy, nie ma tego gdzie postawić, a ludzi pełno. I tak patrzę na nią zdziwiona, a ona mnie na to: bo pani ma więcej zmarszczek ode mnie! Myślałam, że zdechnę ze śmiechu, to było takie dowcipne! A ona się zorientowała jednak, że to chyba trochę faux pas, prawda, i mówi: bo ja nie złośliwie. Wie pani, złośliwie, nie złośliwie, ale ja usiądę. No wiec tak też bywa. Czyli tak: urodziłam się w Wilnie przez przypadek, bo mój ojciec nie jest wilnianinem. To nieważne. (...) Moja mama była fleczerem, znaczy skończyła szkołę carską jeszcze.

-Rosyjską.

Tata był po USB. Wiecie, co to jest USB? Uniwersytet Stefana Batorego. I pracował w urzędzie miejskim. Miałam brata jeszcze. Brat chodził do jezuitów. Wiecie, co to? To jest szkoła, którą prowadził klasztor jezuitów, zresztą na najwyższym poziomie, jeśli chodzi o Wilno. Ja zaczęłam chodzić do nazaretanek. Wiecie, co to nazaretanki?

-No, pewnie tak jak u jezuitów.

To jest szkoła klaszorna, zresztą te szkoły były w Wilnie najlepsze, te prowadzone. To samo, jak teraz się patrzy na zachodzie, to te szkoły, które prowadzą zakonnice, to są te szkoły na o wiele wyższym poziomie. Tak to już było zawsze. No to się urodziłam i poszłam do szkoły. A potem się zaczęła wojna. Ojciec poszedł do jako ochotnik na wojnę, bo już nie musiał, bo miał chyba czterdzieści lat. Ale brał udział w I wojnie światowej i tak patriotycznie był wychowany, uważał, że to jest jego obowiązek. A ja, brat i mama przyjechaliśmy do takiej miejscowości pod Wilnem, bo tam rodzice mieli... jakby to powiedzieć. Ani willę ani dacza. Bo nie podobają mi się te słowa. Po prostu dom, w którym się mieszkało latem i zimą. Mieli tam sześć hektarów ziemi, mieli tam sad duży, owocowe krzewy i tak dalej. To wyglądało zamożnie. I myśmy tam przyjechali na czas wojny. Ziemię uprawiał dzierżawca, sad już był taki że można było uprawiać owoce. Jeżeli chodzi o stronę materialną, to w czasie wojny my głodu nie cierpieliśmy. Na pewno było gorzej niż przed wojną, to nie ulega kwestii, ale jakoś tam... Niemcy do nas docierali bardzo rzadko, bo to było tak pod lasem trochę, to były działki wojskowe. Znaczący po I wojnie światowej, bo to był majątek, majątek rosyjski jakiś. Został podzielony pomiędzy wojskowych, po 5, po 6, po 7, jak wypadło hektarów. Każdy tam budował sobie w tym czasie ten domek, sadził owoce i tak właśnie dużo, że tak powiem „trzeszczenia” było. Myśmy się znali wszyscy. Oficerów tych, bo to przede wszystkim byli oficerowie, powywozili Rosjanie w '40 roku. Ci, co poszli na wojnę albo zdążyli wrócić, to zostali aresztowani. Przede wszystkim zostały kobiety, dzieci. Przede wszystkim. No i w roku '42 zaczęła pojawiać się partyzantka na tych terenach, jak mówiłam, blisko lasy były. Czyli Armia Krajowa, która się wtedy nie nazywała u nas Armią Krajową, a partyzanci po prostu mówili się. Dalej od Wilna to już byli partyzanci tam Białorusini, czy tam inni powiedzmy, czy Żydzi, którzy



CYFROWE ARCHIWUM
POMORSKICH KRESOWIAKÓW

uciekli z getta jakiegoś. A u nas to byli Polacy. No i tak: tutaj walka była, tam walka była, dowiadywaliśmy się. Dla nas dla dzieci, bo jeszcze byliśmy dziećmi, bo nikt z nas jeszcze nie miał piętnastu lat wtedy, to ci Partyzanci to byli bohaterowie. Jeszcze oni do nas czasem przychodzili w nocy, a przychodzili, to myśmy z wielkim szacunkiem i uznaniem, może stąd do dnia dzisiejszego dla mnie Armia krajowa to jest coś, coś godnego podziwu i uznania, do dnia dzisiejszego. Pewnie od tamtych czasów jeszcze. A potem przyszli bolszewicy i zaczęli wszystkich aresztowywać, wywozić. I nie wiem, jak to się stało, że moja mama tam na tym miejscu utrzymała się do początku '49-tego roku. Czyli ja zdążyłam skończyć gimnazjum polskie, polską szkołę i zdążyłam dostać się na uniwersytet. Dostać dlatego, że tam był egzamin konkursowy wtedy. Ponieważ uniwersytet był litewski w Wilnie, litewskiego przecież ludzie nie znali przed wojną, więc ja poszukałam grupy rosyjskiej. Też nie za bardzo znałam ten język. Ale już tak uczono nas, więc poszłam na tą grupę rosyjską i zaczęłam studia. No i 25 marca 1949 roku dopiero, to znaczy cztery lata po wojnie przyszli w nocy po mnie, bo ja w tym czasie znowu mieszkałam w Wilnie, żeby bliżej na uniwersytet, na zajęcia. No i kazali z rzeczami zabierać się. No więc wzięłam jakiś tobołek i zawieźli mnie do Ponar. Tam w Ponarach stały już przygotowane pociągi towarowe, do których nas wsadzali. Przywieźli moją mamę też, no to było zrzędzenie losu, że mamę dowieźli, czy mnie dowieźli, nieważne, że żeśmy razem byli. Mama, spodziewając się już aresztowania, miała przygotowaną zawsze walizkę, a w niej najpotrzebniejsze rzeczy i taki worek sucharów. A propos sucharów właśnie. Myśmy jadły oczywiście te wszystkie suchary, póki nas dowieźli na miejsce, ale potem, jak wróciliśmy tu, jak mama tu zaczęła pracę, to zawsze suszyła suchary. I u mama zawsze był worek sucharów. I ja klóciłam się z nią, zresztą niepotrzebnie, po co te suchary i tak dalej. A mama zawsze mówiła: a kto to wie, jak bolszewików będzie szlak trafiał, to mogą suchary się przydać [śmieją się]. I tak już z tym pozostało, z tymi sucharami. Mama w tej mentalności, że jednak trzeba coś zrobić. Tak, i powieźli nas. Wieźli, wieźli, wieźli. Trzy tygodnie wieźli. I słuchajcie, nie wiedzieliśmy, gdzie jesteśmy, no bo skąd. Między nami, w naszym wagonie jechało chyba, ja wiem, chyba ze czterdzieści osób. Z jednej strony dwadzieścia i z drugiej dwadzieścia, na dole były rzeczy. A to taka półka była, czy coś, na której można było spać albo siedzieć. Siedzieć nie bardzo, bo już dach był. Ale spać w nocy, to zaraz spaliliśmy. I właśnie chcąc dowiedzieć się, gdzie jesteśmy, jeden z nas chłopaków pracował na koeli, zanim go aresztowali. On... Wypuścili nas, bo wypuszczali, zrobić coś trzeba było. Stał żandarm, a ty majtki spuszczałaś, on stał z tym karabinem wycelowanym w twoją pupę. Wpierw było bardzo przykro, ale do wszystkiego możesz się przyzwyczaić. Ten chłopak wyszedł, miał czapkę kolejarską i tama daleko jakaś, na małym takim dworcu pyta po rosyjsku: jaka to stacja? Ona mu odpowiada: zima. A myśmy wyjechali po 25 marcu, to już zieleniło się. A tam śnieg absolutny. A on rozzłościł się: zima, to ja widzę, ale jaka to stacja, pytam się. No, ona powtarza: zima. Nie, zrozumiał ale ta stacja nazywała się zima, autentycznie. No, nie skojarzył sobie, to tak an marginesie. Przywieźli nas pod Irkuck, 15 kilometrów od Irkucka. Mam bardzo pięknie opisaną przez koleżankę moją scenę pierwszego dnia Wielkiej Nocy, bo przywieźli nas akurat na Wielkanoc. Przywieźli nas po trzech tygodniach, pozwolili, kazali nam pójść do łaźni, no więc to była rozkosz niesamowita. Wykąpali nas i potem do takiego baraku razem nas wszystkich. Razem nas wszystkich wsadzili. Część była Litwinów, a część była Polaków. W naszym wagonie jechała tylko chyba jedna rodzina litewska, a reszta wszyscy Polacy. A w różnych wagonach, różnie się zdarzało. Bo w tym czasie na Litwinów bardzo ostro się Rosjanie... jakby to powiedzieć. Bardzo ostro się zabrali za nich. Bo Litwinów w tym czasie bardzo dużo w lasach było i tworzyli taką partyzantkę antysowiecką czy antyradziecką. I



CYFROWE ARCHIWUM POMORSKICH KRESOWIAKÓW

postanowili, że jak wywiozą rodziny, to potem łatwiej będzie wyłapać tych, co w lasach zostali, bo nie będzie ich kto miał żywić i prawda, pomagać i tak dalej. I przywieźli na Syberię. Mam opowiadać, co na tej Syberii?

-Oczywiście!

Bo to nudnowate takie.

-Ja myślę, że nienudnowate dla nas.

A może ja bym wam dała właśnie do przeczytania, co tam na Syberii robiłam? Króciutkie sprawozdanie takie. Teraz, w tej chwili. Czy nie chcecie? Mam nawet dwa egzemplarze. To byście mogli sobie poczytać.

-Dobrze.

To zaraz wytłumaczę, jak to było. To było tak, że ja z tej Syberii słałam listy do koleżanki. I ona te listy przechowała przez pięćdziesiąt lat. I potem wydała je. To była pisarka w Wilnie mieszkająca i właśnie... muszę to znaleźć [szuka]. Mam nadzieję, że nie kłamię. Przepraszam, że zatrzymuję was, ale... Powiem, z czego to jest, gdzie to było drukowane. W Wilnie wychodzi taki magazyn wileński, zresztą na bardzo dobrym papierze i tam wszystko o Wilnie jest. I to właśnie z tego skserowane, z jednego z magazynów.

[Oglądają]

-Ja chciałam się zapytać, bo Pani wspominała o pracy. Pani pracowała w szpitalu też?

Proszę panią, jak mnie przywieźli, to pierwszy rok pracowałam w kolchozie, potem dostałam pracę w cegielni. Upiornie ciężka praca. Wyobrażacie sobie taką deseczkę? [pokazuje] mokra ta deska. A na niej cztery mokre cegły, wycięte. Wycięte już i ty tak niesiesz. Nie ma wózka, nie ma saneczek, tam czegoś, musisz na rękach ileś set metrów dalej od tego, gdzie produkują tą glinę i wycinają do tego pieca. I potem z tego pieca jak już się wypali, nie było rękawic, trzeba było gołymi rękami, a to nie było już takie ciężkie, to było gorące bardzo. Trzeba było wybierać. Więc to była upiorna praca. No i stamtąd już mnie aresztowali. Stamtąd już powieźli do więzienia do Irkucka. A w więzieniu, zanim odbywał się ten proces tak zwany sądowy, to siedziałam w celi. W zasadzie z dwiema osobami. Przyszłam trzecia. A potem jak już nas wywieźli do łagru, to w pierwszym łagrze... To był żeński, jakoś nigdy nie trafiłam na taki mieszany. Żeński łagier był to... Budowaliśmy drogę, znaczy kolej żelazną między Irkuckiem a Uanude, tam taka miejscowość bardziej w kierunku Azji. I co robiliśmy: trzeba było zrobić nasypę, ręcznie, łopatami. Potem układało się takie drewniane podkłady, to się szwały nazywały po rosyjsku. A na to przymocowywało się normalne szyny. To była ciężka praca, dlatego że pomachać łopatą te osiem, czy dziewięć godzin, nie umiając przedtem... nauczył mnie jeden ze strażników jak się, bo ja tą łopatę tak trzymałam, a się okazało, że trzeba puścić ją luzem i odebrać, wtedy jest lżej. To jeszcze łopata. Nawet te pokłady, te szwały, to jeszcze we dwójkę, we trojkę można było. Ale jak trzeba było szyny, były bardzo ciężkie, nawet czasem strażnicy nam pomagali. Kiedyś pamiętam, taka szyna, nie utrzymałyśmy my, czy inna grupa, nie pamiętam, spadła na nogę takiej nie pamiętam jak



CYFROWE ARCHIWUM
POMORSKICH KRESOWIAKÓW

się nazywała. To było straszne, bo myśmy nie mogły podnieść potem zrozpaczone, a ona krzyczała. Strażnicy przybiegli. Przybiegli i pomogli, i gdzieś ją tam zabrali. Ciężka praca i to była na całym Bajkale. Oczywiście, nie przy brzegu. Czasami zadają mnie teraz pytanie: ponieważ tam byłaś, czy widziałaś Bajkała? Śmiech mnie ogarnia. Nie widziałam tego Bajkała. Ja widziałam, że on jest obok, ale kto by nas wpuścił. Nikt by nie wpuścił, bo od tego były psy i strażnicy, żeby nas pilnować. Nie żeby puścić luzem i oglądać sobie jeziora. Ale mam tu Bajkała. Piękny album. Ale doskonale wiem, co tam jest, ponieważ wyobrazić sobie mogę, znam, znałam. A potem, to było jeszcze jak żył Stalin, a po śmierci Stalina, to było w 1953 roku, Stalin zmarł 5 marca, data, swoje urodziny – pamiętam. I wtedy nas, znaczy część osób niepolitycznych zaczęli zwalniać do domu, amnestia była. potem dla starszych osób, też politycznych, wtedy zwolnili moją mamę, która nie była notabene ze mną. Dopiero potem. Jak zaczęli te łagry zwozić ze sobą, to znowu przywieźli. I wtedy w tym łagrze to pierw były tak: roboty polowe znowu koło kos jakichś, a potem w fabryce... Nie fabryka, a przywozili nam mikę i trzeba było ją obrabiać. Panie nie wiedzą oczywiście, co to jest mika, bo i skąd. To takie kopaliny, że tak powiem, które były bardzo potrzebne do samolotów do produkcji tam jakichś w samolotach, i tak dalej. Chyba teraz nie znajdę, bo miałam gdzieś taki kawałek [szuka]. Przewozili w skrzyniach i trzeba było dookoła obcinać, można było takie krótkie zostawiać. I to oddawano. Numery były, to była piątka: duży numer, a były i takie, to zależy od tego, do czego było. I potem te skrzynie przenosiliśmy i przyjeżdżali wolni i zabierali do fabryki. Przy tej miece, prawdy to pracy było dzień i noc. Bo potrzebna była. No, ale było na pewno lżej niż iść teraz do tajgi, prawda i coś robić, zbierać te gałęzie, czy te drzewa s\ścinać, to już było lepiej. No i potem po śmierci Stalina to ja jeszcze trzy lata siedziałam. Trochę więcej niż trzy lata. Zanim oni to przekopali, zdecydowali niektórych stopniowo przepuszczają. Ja byłam ostatnia Polka, która z tego łagru wyjeżdżała. Zostały tam inne narodowości, mnóstwo różnych narodowości. I przyjechałam wtedy do takiej miejscowości, gdzie moja mama zwolniona już od roku pracowała, dalej pracowała jak zawsze. I tam byłam miesiąc, czy dwa, znalazłam sobie pracę, bo tak: miałyśmy jechać do Polski, miałyśmy zaproszenie do Polski, *wyzok* to się nazywała od siostry mamy, która mieszkała w Gdańsku. Ale nie miałyśmy pieniędzy na bilet. A skąd, to jednak daleko, prawda? Do samej Moskwy 6000 kilometrów, a od Moskwy jeszcze półtora [tysiąca], czy ile do Warszawy, dwa. A, nieważne. Myśmy jechali z powrotem pociągiem pięć dób i osiemnaście godzin. Do Moskwy. Pociągiem cały czas. No, ale trzeba było, jak mówię zarobić na ten bilet, więc znalazłam pracę już jako wolna-zwolniona, ale jeszcze jako zesłaniec. Nawet nie zesłaniec, a spe-zesłaniec. Specjalny taki, bo różni zesłańcy byli, ja należałam do tych specjalnych zesłańców. I poszłam tam do fabryki do pracy, popracowałam nie wiem tam, ile... Trzy miesiące, czy ileś. Trochę pieniążków na bilet i żeby tam włożyć coś na siebie, jakieś ubranko, pamiętam w komisie jesionkę kupiłam [śmiech], w Irkucku, to duże miasto było. I potem w niej tu chodziłam, jeszcze tu po Gdańsku, bo skąd mogłam mieć od razu pieniądze, prawda? No i potem wsiadłyśmy do pociągu, przyjechałyśmy do Moskwy, już z mamą razem jechałam. W Moskwie byłyśmy kilka dni, więc zdążyłam tam do Tretiakowskiej Galerii jeszcze polecieć, jeszcze coś zobaczyć tyle o ile, bo tu już jako wolny człowiek mnie nikt nie śledził, nikomu nie musiałam opowiadać (09:03), a nocowałyśmy w jakimś pensjonacie, czy hotelu, już nie pamiętam jakim. I potem stamtąd z Moskwy pojechałyśmy do Wilna i mama chciała zostać w Wilnie. Jeszcze stał dom, jeszcze tam trochę mebli było, bo mama przed wywiezieniem nas, spodziewając się, meble rozwiozła po sąsiadach. Różne rzeczy, naczynia, co mogła to już porozdawała. Znaczy porozdawała: z nadzieją, że kiedyś to odbierze. I chciała zostać, ale ja już nie chciałam. Myślę sobie: drugi raz to ja już nie chcę jechać. I tak się postawiłam,



po raz pierwszy chyba. No i pojechałyśmy wtedy do Gdańska. A to w Terespolu to było piękne powitanie Polaków, przez Polaków już mieszkających. Nigdy, nigdy mi się nie wydawał język polski tak piękny, tak poprawny, tak dźwięczny jak wtedy kiedy przyszli ci strażnicy, straż graniczna. Zaczęli z nami rozmawiać, sprawdzać dokumenty i tak dalej. To było coś pięknego, bo przez osiem lat to człowiek raczej po rosyjsku rozmawiał, nie było okazji po polsku specjalnie. Gdzieś tam w więzieniu trochę, gdzieś tam w łagrze, jak była jakaś Polka, ale to jak była obok, bo jak była daleko, to też było niełatwo spotkać się. No i przyjechałyśmy. Ja przyjechałam 4 lutego, a 8 lutego byłam już na zajęciach na historii. Poszłam do dziekana, chciałam na filologię polską, jako że z filologii francuskiej się wywodziłam przedtem. Ale dziekan mi powiedział, że ja mogę nie dać rady sobie, bo więcej niż pół roku minęło, trzeba wszystko uzupełnić, i literaturę, i lektury i historię, no te wszystkie przedmioty, które były na pierwszym roku. I on mówi: niech Pani idzie na historię. A ja historii w ogóle bardzo lubiłam, interesowałam się. I dziekan jak poradził, to tak zrobiłam. Poszłam na historię. A tam był wtedy opiekun grupy, których ich wszystkich zwołał, powiedział: któryś z was zacznie się z niej nabijać, że ona ma taki akcent, że ona ma braki językowe, to ze mną będzie miał do czynienia! Był straszny choleryk, wszyscy go znali, to był Franek, Franciszek Trynka. No i dlatego chyba przyjęli mnie na roku bardzo serdecznie, bardzo po koleżeńsku. No i tak. Potem praca magisterska, wyprawa przy pracy magisterskiej. To recenzentami byli dwaj panowie z Wilna. Jeden to profesor Odyniec, była na uniwersytecie, a drugi profesor Puciata. Obaj zaczęli studia w Wilnie i obaj skończyli potem studia w Toruniu. No i właśnie pochylili się nad moją pracą, jako że ja przyniosłam plan miasta, plan Wilna przedwojenny, a oni obaj z Wilna, więc zaraz: gdzie kto mieszkał, gdzie kto chodził, na jakie dziewczyny, jakimi ulicami. Zajęli się bardzo sobą wtedy, bardzo, a ja stałam jak taka sierota i myślę sobie: czy to już wszystko, czy nie. „Możesz iść dziewczyno”. No to poszłam. I tak zostałam magistrem. Potem tam studia podyplomowe, takie różne rzeczy. No i do pracy. No i pracowałam, nie mogę się doliczyć, ile lat pracowałam, wiecie. Bardzo, bardzo, bardzo dużo. Jak teraz kobiety narzekają, że na emeryturę mają pójść później, takie niezadowolone są. A ja byłam szczęśliwa, że dłużej pracować. Dobrze mi było.

-Ale pracowała pani w szkole?

Tak, w szkole. A jaką byłam nauczycielką, to zaraz wam dam do przeczytania, bo ja nie lubię *[śmieję się]*. Ale dobrze napisany artykuł, poprawiony chyba, bo pisał jeden z moich uczniów, bo chyba dziennikarka poprawiła. Ja lubię jak jest tak ładnie napisane, sama tak może nie potrafię, ale jak właśnie ktoś napisze, to potrafię to ocenić. No i pracowałam, i pracowałam i pracowałam. I bardzo mi dobrze było, bardzo się dobrze czułam w szkole. Bardzo dobrze. A wiecie, moja główna praca przypadła, nie było tych naszych dzisiejszych wolności, nie było tej naszej dzisiejszej demokracji, kulawej, czy nie kulawej. Takich rzeczy nie było. Mówienia o czymś, a szczególnie z historii, to nie było takie proste, można było się naciąć i mieć różne przykrości z tego tytułu. Tym bardziej, że ja do partii nie należałam, więc wszyscy wiemy, że do kościoła chodziłam, bo nigdy się z tym nie kryłam. I też nie kryłam się z tym, że na Syberii byłam. He, a dowiedziałam się potem, jak ta Solidarność powstała, że dwóch moich kolegów z pracy też na Syberii było. Nie byli w więzieniu, nie mieli wyroków jak ja, ale an zesłaniu byli. Cały czas wiedząc, że ja byłam, bo ja się z tym nie kryłam, nie mówili. Bali się po prostu. Tak mieli zakodowane, ten strach. No, to jest też



CYFROWE ARCHIWUM
POMORSKICH KRESOWIAKÓW

cecha jakaś charakteru, strach. Bo nie wszyscy są tacy bojaźliwi, są też ludzie odważniejsi, prawda. Nawet jak patrzymy na tą Solidarność, to ci odważniejsi zaczęli coś robić. Nie ci, którzy bali się. No, a oni dopiero potem, przyznali się: jeden była w Kazachstanie, no z rodzicami jeszcze był, bo wszyscy oni byli wywiezieni wcześniej, w latach czterdziestych. W '41 przyszli bolszewicy, w 1940, wtedy. Pierwszy rzut. Myśmy wtedy też byli już na liście, wtedy, ale to miejsce, tą miejscowość, czy tą gminę nie objęła wtedy, bo oni wtedy robili tam, gdzie mogli, prawda, bo trzeba było samochody, trzeba było enkawudzistów mieć odpowiednią ilość, ta logistyka cała musiała być zorganizowana lepiej lub gorzej. I do ans nie doszli. I przyszli Niemcy. No i wyzwolili nas, co tu gadać. Taka była prawda, w porównaniu z tym, co robili Bolszewicy, tylko przyszli, te areszty, tak dalej. Potem na początku Niemcy pod Wilnem, to tak trochę inni byli. A potem się okazało, że jak Armia Krajowa powstała, zaczęły się walki różne, to tacy się okazało, że nie tacy-cacy, prawda. Ale w porównaniu do tej hordy bolszewickiej, straszna horda była, wiecie? Taka hołota. Słuchajcie, w '44 roku przyszli na te tereny, gdzie myśmy mieszkały pod Wilnem, przyszli do ans do domu i ja pamiętam tylko tyle, że mama rozmawiała z którymś z tych żołdatów, nie żołnierzy i on miał tutaj nawsadzane pełno sztuczków [pokazuje]. I słuchajcie, i w tych spodniach *galite* najbardziej mu wystawała ta łyżka. Ja podeszłam z tyłu i wyciągnęłam mu ją, on nie zauważył.

-To jest ta łyżka? Będziemy mogli zrobić zdjęcie?

Oczywiście. I co mówił: po co wam tyle, musicie się cieszyć, myśmy was wyzwolili, teraz będzie wam dobrze, będziecie szczęśliwi. I podpalili nam w jednym z pokojów materac chyba, który był z trawy morskiej, nie wiem, czy teraz robi się takie, czy nie. Z trawy morskiej, pikowany i podpalili to, taka dziura wypaliła się, trawa morska była wilgotna, czy coś, nie rozpałała się, samo zgasło. I dopiero potem poczuliśmy ten zapach i tak dalej. A co, może jeszcze kubeczek z łągru dać do zdjęcia [*śmieje się*].

-No pewnie. Właśnie chciałybyśmy się zapytać, co Pani przywiozła ze sobą.

Wiem, wiem, bo tu jest takie pytanie: co przywieźli... Otóż moja mama, potem jak już nas przywieźli razem, to mama poszła do pracy do San-czasz to się nazywało. Właśnie, to przychodnia taka łągrowa, czy coś. I tam przychodzili więźniowie również, bo też była taka ogólna. I taki jeden więzień mamie podarował kubek, ale dla mnie. To jest "KR": Krystyna Rzewuska [pokazuje] bo to rosyjskie, i tu takie coś wydrapał i tu też wydrapał i mama to przeniosła dla mnie. Pić z tego to bardzo trudno było, bo to nagrzewało się strasznie. Ja całe życie używam [*śmieje się*]. Więc tak: to jest domowe, przedwojenne. A to już jest syberyjskie [...] Taki już, jak Stalin umarł, to pojawił się sklepik w naszym łągrze i można było sobie to i owo kupić. I wtedy już, nie pamiętam, czy dostałam, czy kupiłam takie coś, i jak przychodziliśmy z pola, bo mówiłam, że przez pewien okres pracowałam w kołchozie, to jak tam parę kartofelek się przyniosło, czy buraczków, prawda, to w tym się gotowało. Tak to wtedy wyglądało, takie dziwy, ja tego nie używam, ale sentyment jakiś mały i nie mogę wyrzucić. Chociaż już córki mówiły: mogła mama to już dawno wyrzucić. No jakoś nie....

-Ciężko się pozbyć jakichś rzeczy swoich.



CYFROWE ARCHIWUM
POMORSKICH KRESOWIAKÓW

No pewnie tak.

-Czemu pani nie chciała wyjść za mąż?

Kiedy? *[śmieje się]* jakoś tak po prostu życie wyglądało zupełnie inaczej, z tamtej perspektywy, gdzie tam facet, gdzie tam. Wy jak miałyście 18, 19, 20 lat to miałyście kawalerów, spotkania, randki, ja tego nie miałam, no bo już siedziałam. A to, to mi jedna zakonnica rosyjska zrobiła taki różaniec w prezencie w łagrze. Ona wielu osobom chyba robiła, tak myślę. Tu są takie *[pokazuje]*, no i przechowałam przez tyle lat. Udało mi się. Już czas schować ten garnek. A to nie pamiętam, też mi ktoś zrobił, też na Syberii, jako ozdobę, na szyję czy na co.

-Piękny.

No, z czegoś tam robili.

-Pani chyba o tyle było łatwiej, że mimo wszystko Pani jeszcze była w Wilnie, w swoim starym domu.

O ile łatwiej?

-Znaczy w zabraniu jakichś rzeczy swoich, że...

A co można było wziąć do jakiejś takiej walizki? Parę koszul, buty jakieś.

-Czyli mimo wszystko jakieś małe takie pamiątki ze sobą, znaczy jakieś takie małe drobne rzeczy.

Ale, bo na Syberii to.... Aha, jak tam jechałam na Syberię? Czy jak wracałam?

-Znaczy na Syberię też jest ciekawe.

Nie, no właśnie, to co mówiłam, nic nie wzięłam. Żadnych pamiątek wtedy, do głowy nie przychodziło, tylko jak jakąś poduszkę mama wzięła na przykład, czy tam jakiś koc, czy coś, żeby jakoś uchować się przed mrozami, to nie takie łatwe było. A mam absolutnie odmrożone ręce i nogi. Jak jest już wrzesień, to już moje ręce robią się właśnie takiego koloru *[pokazuje]*. I nic nie pomaga na to, ja już we wrześniu zaczynam chodzić w rękawiczkach, bo mi wstyd, wszyscy mają białe ręce, a ja sine. Inaczej się tego nie nazwie. Kolana też mama takie odmrożone. I tak przeżyłam długie lata mimo wszystko, no.

-A jeszcze proszę powiedzieć nam, dlaczego Gdańsk, dlaczego akurat tutaj?

Bo rodzina mojej mamy była. Tu był brat mamy już, który wyjechał w 1945 roku z Wilna. Tu była siostra mamy, z rodzinami już. Z synami, z dziećmi, z córkami, itd. A dlaczego do Gdańska



CYFROWE ARCHIWUM
POMORSKICH KRESOWIAKÓW

przyjechali? Bo mój wujek, czyli rodzony mojej mamy brat w czasie I wojny światowej był w niewoli u Niemców, tu w Gdańsku i dobrze mu tu było w tej niewoli u Niemców. Że już jak miał wybierać, gdzie pojechać, to tu pojechał. I chyba, bo wtedy jak był, to chyba nauczył się pracy jakiejś w drukarni, bo był zecerem. Bo zecer to ten, co poprawia tam literki, tak dalej?

-Ja nie wiem.

Ja też, w każdym razie, nieważne, do tej samej przyjechał, od tej samej drukarni. Tam jakieś stare maszyny jeszcze były, jak przyjechał, to jeszcze oni odbudowywali tutaj, jak to się nazywało, odnawiali i wujek tu potem pracował całe swoje życie. I stąd Gdańsk.

-A jak się Pani czuła tutaj w te pierwsze dni?

Całkiem przyzwoicie, całkiem dobrze, za wyjątkiem incydentów z paniami ze sklepów, z paniami sklepowymi, które mówiły: a, Pani ruska! Bo ja to słyszę! Przykro mi było i szlak mnie trafiał, potem zaczęłam się odgryzać, teraz to już mi nikt nie podskoczy. Ale tak wtedy to jeszcze taka pewna nie byłam, prawda. A zdawałam sobie sprawę z tego, że i braki językowe mam, i akcent mam taki rosyjski, bo to nie żaden wileński, nie żaden tam kresowy, ale rosyjski. A Rosjanie na przykład mówią, że ja mówię po rosyjsku jak *barnia*. Nie wiem, czy wiecie, co to jest *barnia*. To jest przedwojenna, przedrewolucyjna pani siedząca na majątku jakimś, wydająca rozkazy [śmieje się]. Jak ja mówię, to jakbym wydawała rozkazy każdemu. A więc też źle, to też nie jest taki język jak oni by sobie może słyszeli. Aha, jeszcze chciałam [pokazać] jaką byłam nauczycielką. Musicie wiedzieć, z kim macie do czynienia [śmiech]. A się zrobiłam taka leniwa, że już wysługuję się gazetami. Ale to jest, przepraszam, jeden tylko. Chyba że znajdę jakiś przypadkiem [pokazuje]. A tu trzeba cały przeczytać [czytają po cichu].

-I tak de facto, to Pani jest bardzo odważną osobą, która się nie boi...

Tak, to prawda. Za wyjątkiem tego początku, przepraszam, to wszystko banialuki. Ja, kiedy on mi dał to do przeczytania Rysiek, to ja mówię: coś ty mi tu napisał? „To będzie dla mnie splendor”. Nie dla mnie, a dla niego! [śmieją się] Bo to tam różne banialuki wymyślił, no. Nie, nie bałam się, to prawda. Nigdy się nie bałam. Nie wiem, dlaczego. To chyba jest wewnątrz.

-Cecha charakteru, z tym człowiek się rodzi.

Jeszcze czasami, co mówię, przez cztery lata uczyłam się u sióstr nazaretanek. I one jednej rzeczy mnie nauczyły, wydaje mi się że one, jednej rzeczy mnie nauczyły: mówienia prawdy zawsze. Tam miałam parę takich incydentów. Pierwszy, na dowód tego, że siostry uczyły prawdy, że wymagały prawdy, może to jeszcze jakoś wpłynęło, nie wiem. Poza tym w domu o wszystkim się mówiło, tata na przykład przed wojną przyjaźnił się z Żydami, z Rosjanami, bo tam w Wilnie różnych było sporo i nigdy nie było takiego, że ktoś mówił źle o Żydach, czy coś. Zresztą nawet w czasie wojny, to ciekawe, że w Wilnie, zresztą teraz dopiero czytam takie coś, chociaż wiedziałam to z opowiadań, że w Wilnie Żydom Polacy pomagali. Jak Niemcy ich już szukali, łapali, tylko chronili przed Litwinami, bo Litwini wydawali i mordowali Żydów. Niby obok dwie narodowości. I tak



CYFROWE ARCHIWUM
POMORSKICH KRESOWIAKÓW

wychowano mnie w jakimś takim stosunku, jak myślę, do ludzi w takim otwartym, prawda, przyjaznym. Może tak to i zostało, może miałam zaufanie do ludzi. A jeżeli chodzi o szkoły już o klasę, to wiedziałam, że oni nigdy mnie nie tego, na mnie nie doniosą. A ja im wierzyłam, takie wewnętrzne miałam przekonanie. Jak ja ci mówię, ja potrafiłam ich wyzwać brzydko, no jakoś tak bardzo brzydko nie, a tak od choler, to potrafiłam. Milczeli. Jakoś, no nie wiem... Zresztą do dnia dzisiejszego i przychodzą i przypominają się. Na zaproszenie jednego z uczniów byłam niedawno w Stanach Zjednoczonych. On mnie zaprosił, on zapłacił drogę. Nota bene, drugi raz już. I wczoraj wieczorem dzwonił, mówił: przyjedzie Pani Bo teraz jest promocja: z Polski do Nowego Jorku i z powrotem tylko 400 dolarów. No, strasznie tanio, naprawdę promocja jakaś. A ja wróciłam w listopadzie od niego. Nie, dziękuję na razie. Ale tak właśnie, tak właśnie jakoś jak tam byłam, to też przyjechali chłopcy z Kanady, z Haiti i z Chicago. I tak razem było nam jakoś wspominać właśnie dawne czasy. Więc mam taki kontakt. Nie ze wszystkimi, oczywiście no, bo to niemożliwe jest, ale sporo. Pięknie.

-A lubi Pani podróżować albo nie wiem, myśli o tym, żeby jesz teraz na cze do Wilna na jakiś czas?

Do Wilna jadę teraz na kaziuka. Poza tym mam tam bliską przyjaciółkę, nie tą, bo ona zmarła rok temu. Ostatnio książkę wydała i zmarła. I do takiej drugiej, też z klasy, z tego naszego takiego towarzystwa. Ja wyjadę z córką. Jedna córka była już kilka razy i studentów nawet zabrała i pokazała im, a druga jedzie pierwszy raz. A dalej nie wiem, jeszcze zobaczymy, może jeszcze gdzieś pojedziemy. Jak zięć pracował na uniwersytecie jerozolimskim, to byłam 10 dni w Jerozolimie, abstrahując od tego, że tam kiedyś z wycieczką, czy pielgrzymką byłam, bo to jednak co innego, idziesz i pokazujesz, i dalej, dalej. A jak człowiek mieszkał tam, i mógł sobie wyjść, gdzie chciał i ile chciał, no i teraz może Iwonka, znaczy moja córka dostanie zaproszenie na uniwersytet jerozolimski. Bo dostała do Buffalo teraz, ale odmówiła, bo na cały rok i do Stanów nie chciała. Bo jest....A co mam się nie pochwalić swoją córką! [pokazuje zdjęcia] I też historia, zgadza się. Tu jest dużo napisane: uniwersytet mianuje na profesora Uniwersytetu Gdańskiego. To chyba nie wiem kiedy, chyba teraz jesienią dostała.

-To piękne.

No, tak sobie jakoś.

-Myślę, że miała taki sam pęd do wiedzy jak i Pani.

No, była nauka zainteresowana. Kiedyś jakiś chłopak niedawno wspominał: jak Iwona przyszła na dyskotekę, to z książką. I ja jej powiedziałam o tym, ona mówi: tak, to prawda. A co mnie tam, latali, krzyczeli, a co mi – to mnie nie interesowało. Aczkolwiek już dawno wyszła za mąż, oczywiście. Jakiegoś wariata znalazła. Też historyka, też naukowca, też profesora, więc coś tam wspólnego mieli. Mamy w rodzinie trzech historyków, tylko tamci są profesorami, a ja szarym magistrem.

-Ale to pani jakoś rozbudziła tą...



CYFROWE ARCHIWUM
POMORSKICH KRESOWIAKÓW

Ja nie wiem, czy rozbudziłam, czy... Sporo książek historycznych było zawsze w domu, coś się tam o historii mówiło. Ja bardzo często jeździłam do Londynu i przywoziłam zawsze te zakazane książki. Wybierałam najciekawsze urywki i potem to do szkoły zносиłam, pokazywałam chłopakom, a w domu córce, oczywiście. No i tak może stąd, nie wiem. Wie pani, takie przypisywanie sobie zasług to nieprawda, to zawsze takie zbiegi okoliczności wpływają na to, że ktoś się staje kimś takim albo innym. To tak czasem może jakieś pchnięcie, jakaś uwaga. O, na przykład ja : wcale na historię, jak mówiłam paniom, nie wybierałam się, skoro nie mogłam, tu nie było filologii francuskiej wtedy, no to chciałam filologię polską. No nie wyszło, no i bardzo dobrze. Nie wyszło i wcale się nie martwię. Ale to ani moja zasługa w zasadzie, taki zbieg okoliczności. Tak to bywa w życiu. Ja nie wierzę w to, że człowiek jest kowalem swojego szczęścia, ja nie wierzę w to. Nie można tak sobie założyć, że będę robić to i to, będę tym i tym, czy będę dążyć... Dążyć to jeszcze można. Ale czasem przychodzą takie momenty, że akurat jest inaczej niż człowiek sobie założył. No i trzeba szukać wtedy drogi jakiejś. Sama droga się znajdzie, czyli szukać. Przyjdzie do nas.

-Bardzo dziękujemy za wspólnie poświęcony czas.

No to się cieszę.



CYFROWE ARCHIWUM
POMORSKICH KRESOWIAKÓW



CYFROWE ARCHIWUM
POMORSKICH KRESOWIAKÓW